



Do górskiego miasteczka Leh dojechaliśmy wieczorem, na szczęście na tyle wcześnie, że zdążyliśmy jeszcze wyjść na wspólną kolację do urokliwej restauracji Pingwin, w której mogliśmy spróbować tak typowych dla tego regionu pierogów – momo, thukpy i innych frykasów. Najedzeni poszliśmy spać i wreszcie po dwóch dniach w busikach mogliśmy się porządnie wyspać, bo Kumar Litościwy zarządził zbiórkę o godzinie JEDENASTEJ (ale już po śniadaniu). Tego jeszcze podczas tej wyprawy nie było. W dodatku program dnia był luźny: przeszliśmy do centrum miasta, wdrapaliśmy się na gompę Cemo, żeby zobaczyć fort z XV w. z małą buddyjską świątynią w środku i podeszliśmy pod pałac ukończony na początku XVII w. za panowania króla Sengge Namgjala, a potem daliśmy sobie czas na shopping, bo w sklepikach w centrum Leh można znaleźć perełki miejscowego i tybetańskiego rzemiosła. Więc jedni kupili bransoletki, inni skórzane torby, negocjowaliśmy ceny masek i młynków modlitewnych... Nawiasem mówiąc, kolację też zjedliśmy w tybetańskiej restauracji. Co ciekawe, młodym najwyraźniej zasmakowały dania z baraniną... Drugi dzień pobytu w Leh wypełniła wycieczka do Alchi i Likir. Alchi jest jednym z najbardziej niezwykłych miejsc w Ladakhu położonym nad brzegiem Indusu. W Alchi znajduje się kompleks świątyni buddyjskich z końca XI wieku, do powstania którego przyczynił się najprawdopodobniej Rinchen Zangpo – „Wielki Tłumacz”, który tu propagował buddyzm tybetański oraz dwóch buddyjskich mnichów, pochodzących z jednego z najpotężniejszych w regionie klanu Dro – Kalden Sherab i Thsulthin. I to oni podobno wybrali artystów, którzy swoimi malowidłami ozdobili trzy świątynie – Dukhang, Sumsteg i Dżampe Lhakhang. Te malowidła i w ogóle wnętrza świątyni zwalają z nóg. Do każdej ze świątyni wchodzi się przez bardzo małe drzwi, w związku z czym ciekawski lub wyznawca muszą siłą rzeczy pokłonić się wizerunkom (rzeźbionym i malowanym) Buddy znajdującym się w środku – kolorowym i z wielką maestrią dopracowanym przed tysiącem lat. Przed TYSIĄCEM lat! I tych portretów Buddy na ścianach jest tysiące. Niewiarygodne, że pozwalamy, by niszczały i znikwały z biegiem lat i z każdym kolejnym monsunem. A w świątyniach spotkaliśmy mnichów odzianych w bordowo – pomarańczowe stroje, uśmiechniętych i emanujących, jakimś dziwnym dla nas, wewnętrznym spokojem. Jeden z nich poczęstował nas małymi (mniejszymi niż u nas), ale nadzwyczaj słodkimi morelami, z którymi zresztą zapozował mi do zdjęcia. Ale PECH, o którym pisałam wcześniej ciągle nas tropi i nie odpuszcza... Mieszkańcy Ladakhu są raczej niscy (czyt. wzrostu siedzącego psa jak ja na przykład...) i małe drzwi nie stanowią dla nich problemu, ale dla naszych wyprawowiczów i owszem, o czym przekonał się coraz wyższy Szafa. Bolesnie się przekonał. A kiedy uderzył wystrzyżoną łepetką o framugę drzwi to echo się ozwało chyba w całym Ladakhu. Na szczęście drzwi wiekowe – mocne a i głowa Szafy odporna na wstrząsy, więc bez zmian w składzie ekipy po Alchi zobaczyliśmy Likir i znajdujący się w tej miejscowości wielki posąg Buddy, klasztor buddyjski i szkołę, w której naukę pobierają kilku i kilkunastoletni mnisi. Młodych mnichów zostaliśmy... grających w badmintona. Byli, jak to nastoletni chłopcy na całym świecie, rozbrykami, uśmiechnięci i mocno zainteresowani zabawą. Ale kiedy im popatrzeć w oczy... można było w nich dostrzec mądrość starców, dojrzałość i coś, co trudno zdefiniować, bo wykracza poza ramy „tu i teraz”. A nas przywitał dyrektor tamtejszej szkoły, który – będąc mnichem – wyczerpująco odpowiedział na nasze pytania dotyczące buddyzmu a także poczęstował sucharkami i herbata. Nasza ekipa zostawiła kolegom z Likir książki do nauki angielskiego, długopisy, mazaki, szczotki i pasty do zębów oraz inne gadżety, które na pewno wykorzystają. No i zrobiliśmy sobie dużo pamiątkowych zdjęć szczerząc się do obiektywu aparatu i za przykładem małych mnichów, głośno krzycząc CHEESE!